

# Czyż, Leszek

---

## Moi kochani mali Kurpikowie

---

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 7, 272-275

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## MOI KOCHANI MALI KURPIKOWIE

Byłem tu po raz pierwszy. Ta znana w tym regionie miejscowość w niczym nie przypominała typowej kurpiowskiej wsi. Zresztą, czy są jeszcze gdzieś typowe kurpiowskie wsie? Brzydkie, murowane domy, takie same jak w każdej części tego kraju. I tylko gdzieś niegdzie stare drewniane chałupy, ale już oszpecone szalunkiem czy jakąś koszmarną przybudówką. Minąłem coś na kształt murowanych baraków, gdzie mieściły się różne sklepy, wytarłem spocone czoło i zdjąłem kurtkę. Zaczepiłem jakiegoś przechodnia, który wyjaśnił mi jak dojść do szkoły. Tam mieścił się GZEAS. Przez całą drogę układałem w myślach scenariusz spotkania i rozmowy z inspektorem. Był już koniec sierpnia. Bałem się, że znów odeślą mnie z kwitkiem. Ostrzegano mnie — bez „wałowy” nie jedź, bo nic nie załatwisz. Ba, kiedy ja nie umiem z „wałową”. Wiozłem ze sobą jedynie maturę, chęci i nadzieję.

Przed wejściem do szkoły zatrzymałem się na chwilę, zapaliłem papierosa i usiadłem na ławce przed żywoplotem. Chwile napięcia i strachu przeplatały się z marzeniami. Myślałem sobie — Boże, jakby to było cudownie, gdyby znalazło się miejsce w jakiejś, choćby maleńkiej szkółce, w zupełnie dowolnym miejscu. Przecież tylu ludzi, przyjmują bez kwalifikacji, dlaczego by nie mnie.

Podszedłem pokornie do jednego ze stolików i wyjaśniłem drżącym i niepewnym głosem cel mojej wizyty. Wysłuchano mnie, po czym kazano napisać podanie.

Miałem zgłosić się za kilka dni. Nie były to najszcześniejsze dni w moim życiu. Szczęście, że nie nabawiłem się wtedy jakichś wrzodów na żołądku. Nieprzespane noce spędzałem na wyobrażaniu sobie, jak to wchodzę do szkoły, jak to witam się z dziećmi, jak to staję przed nimi i ...

Przecież muszę im to wszystko powiedzieć — myślałem — poprzez te wszystkie wiersze, czytanki, książki. Muszę pokazać im tę inną drogę — marzyłem — niewidzialną, lecz najprawdziwszą ze wszystkich innych. Drogę do nich samych, do wewnętrznej doskonałości. To dążenie miało wyzwolić siły potrzebne w przyszłym, dorosłym życiu. Zastanawiam się, co pozostało we mnie z tych wzniosłych celów dzisiaj. Jestem pewien, że idea jest ta sama, choć może wymiar czy kształt tych dążeń, uległ pewnym przeobrażeniom.

W kilka dni później znów przemierzyłem ten sam szlak, znów był upalny dzień i znów musiałem zdjąć kurtkę. Tym razem nie dopaliłem do końca papierosa, gdyż ze szkoły wybiegł młody, wysoki mężczyzna w jasnym garniturze, który podszedł do mnie i spytał, czy to ja ubiegam się o pracę w szkole. Gdy potwierdziłem, natychmiast zabrał mnie do środka. Okazało się, że jest to świeżo upieczony dyrektor jednej ze szkół. Po krótkiej rozmowie z zastępcą, gdyż inspektora chwilowo nie było, oświadczył mi, że jeśli chcę, mogę pracować w jego szkole. Pewnie, że chciałem, choć mieściła się ona w małej kurpiowskiej wiosce, gdzie nie dochodził autobus, a szkoła była w kilku gospodarskich domach. To wówczas dla mnie zupełnie nie było istotne.

Od tej chwili wszystko zaczęło toczyć się w szybkim tempie. Zostałem zatrudniony do noszenia podręczników, kredy i innych szkolnych precjozów do „Nyski”, która miała nas zawieźć na miejsce. Jechaliśmy około godziny. Im dalej — tym więcej lasów, aż wreszcie był już tylko las; gęsty, wielki, kurpiowski las. Od wsi, gdzie dojeżdżał autobus, było jeszcze 6 km piaszczystej, leśnej drogi.

Wreszcie jakieś chaty, żwirówka i ... szkoła. No cóż, ta chałupa niewiele przypominała szkołę, prócz tablicy informacyjnej o tym. Weszliśmy do środka. Mieścili się tu dwie maleńkie sale lekcyjne i szkolna biblioteka.

— Nie przejmuj się — pocieszał mnie niepotrzebnie dyrektor — tak będzie jeszcze tylko miesiąc lub dwa, potem przenosimy się do tego domu — i wskazał murowany, piętrowy dom w sąsiedniej zagrodzie. Wyglądał dość imponująco jak na te okolice.

Po przeładowaniu z samochodu książek, kredy i innych rzeczy poszliśmy do sąsiada. Jak później się okazało wszystkie budynki, i te gospodarcze, i te mieszkalne, od podwalin aż po strop, pobudował sam gospodarz. Taki „złota rączka”. Nie powiem, zaimponował mi; a i dzieci miał imponującą gromadkę, bo chyba siedmioro. Niewysoki, szczupły, ale energiczny. A na dodatek muzyk — samouk, tak jak i ja zresztą.

— Teraz, panie Leszku, to już nie te ręce — mawiał — ale kiedyś... O ho!

Rzeczywiście, dawniej był ponoć wziętym muzykiem. Niejedno wesele obegrał.

Zamieszkałem w małym pokoiku obok kuchni, a dyrektor, i jeszcze dwie nauczycielki, na strychu. Wreszcie nadszedł 1 wrzesień. Wystroiłem się w mój studniówkowy garnitur, krawat, wyglancowałem pantofle i udałem się do szkoły. Kręciła się tam już kolorowa gromadka dzieciaków i mniej kolorowy dyrektor. Natrafiłem akurat na dość głośną reprimendę, połączoną z lapobiciem, jaką dyrektor wymierzał dwóm ósmoklasistom. Byłem nieco zaszokowany i przestraszony, ale pocieszałem się myślą, że mnie raczej bić nie będzie. Grono pedagogiczne wraz z dyrektorem liczyło 7 osób, a ósma miała dojść za tydzień. Wszyscy, oprócz dwóch osób — bardzo młodzi i bez kwalifikacji lub po rocznym studium pedagogicznym.

Pierwszy dzień minął w odświeżonej, milej atmosferze. Byłem nauczycielem. Nareszcie byłem nauczycielem, choć głośno nie śmiałem określać się tym mianem. Czulem, że muszę do tego dorosnąć. Dopiero po dwóch czy trzech latach tak się nazwałem, gdy ktoś zapytał mnie, co robię.

Ależ miałem wówczas gorącą głowę, tyle zapału, energii. Dyrektor dał mi mój upragniony język polski. Wprawdzie tylko w siódmej i ósmej klasie, ale to już było coś. Naszym pokojem nauczycielskim była, wspomniana już żwirówka. Przemierzaliśmy w czasie przerwy ok. pół kilometra w jedną stronę i ok. 200 m w drugą — do domów, w których mieścili się sale lekcyjne. Trzeba było nieźle „zasuwać”, żeby zdążyć na czas.

Wieczorami poświęcałem godzinę lub dwie na pisanie konspektów. Najwięcej problemów sprawiało mi formułowanie celów lekcji. Gdy przeglądam teraz te stare zeszyty, myślę sobie, że była to strata czasu. Pisałem, bo musiałem, choć nie umiałem. Zresztą, kto miał mnie tego nauczyć? Rozkład materiału z języka polskiego, będący właściwie spisem tematów lekcji, dostałem od dyrektora. Bazowałem na tym spisie i własnej intuicji. Bardziej wierzyłem chyba w to drugie. Najwięcej radości sprawiały mi chyba lekcje poświęcone analizie wierszy. Ale się wyżywałem, rozbierając każdą strofę na części pierwsze, składając, a następnie wydobywając, to co było między tymi częściami.

Na tych moich lekcjach dominującą metodą było coś w rodzaju wykładu. Próbowałem oczywiście wyciągnąć, ile się da z dzieci, ale... ich wypowiedzi były ubogie, zarówno formą jak i treścią. Poza tym, zanim które coś sensownego wybałało, trzeba było się długo naczekać. Przyczyny tego były dość jasne. Wystarczyło porozmawiać z rodzicami.

Następnego dnia z takim samym zapałem biegłem na lekcje do moich dzieci. W gruncie rzeczy były to bardzo wrażliwe i mądre dzieciaki. Niestety, los podarował im surowe, twarde i bezwzględne dzieciństwo. Kiedy po pewnym czasie pojechaliśmy na wycieczkę do Trójmiasta, niektóre z nich niemal całą drogę stały (choć miały miejsca siedzące), wpatrując się z otwartą buzią w okna autokaru. Gdy dojechaliśmy na miejsce wszystkie natychmiast kupiły sobie lody, a następnie okulary przeciwsłoneczne. Wszystko ich dziwiło, zaskakiwało. Wszak był to świat, który dotychczas oglądały tylko w telewizji. Gdy patrzyłem na nie, wspominałem własne, dość podobne dzieciństwo i chyba... pokochałem je wszystkie. Od lutego rozpocząłem jednak naukę w Studium Nauczycielskim w Ostrołęce na kierunku — nauczanie początkowe. Nie byłem tym zachwycony, zwłaszcza, że mężczyzn na roku było ze mną dwóch, ale z czasem przekonałem się, że dobrze się stało. Natomiast sytuacja w pracy nieco polepszyła się. Przenieśliśmy się do wspomnianego już wcześniej przeze mnie budynku gospodarza, u którego mieszkałem. Było ciasno, ale dość przytulnie. Mieliliśmy tu sześć sal lekcyjnych, pokój nauczycielski i małe pomieszczenie na bibliotekę. Wieczorami, po napisaniu konspektów, odwiedzałem koleżanki z pracy mieszkające nade mną.

Jedyną naszą rozrywką były właśnie takie, spędzone na rozmowach przy herbacie czy kawie, długie wieczory. W każdą sobotę, bez względu na pogodę, jeździłem swoją starą WSK-ą do domu w odwiedziny i rzecz jasna po prowiant. W związku z tym, że motor był, jak wspominałem, nie pierwszej młodości, często przeżywałem w drodze rozmaite, niezbyt przyjemne, przygody. A to łańcuch spadł, a to gumę złapałem, a to znów utknąłem w śnieżnej zaspie itp.

Dużym utrudnieniem, zwłaszcza zimą, były wyjazdy na rozmaite konferencje. Nikogo nie obchodził fakt, że musieliśmy przemierzać, przeważnie pieszo, 6-kilometrowy odcinek leśnej drogi, by dojść do autobusu.

Wreszcie nadeszła przecudna w tych stronach wiosna. Gdy rano otwierałem szeroko okno, by zachłysnąć się zapachem budzącej się przyrody, do pokoju wraz z rojem much wpadała woń obornika. Ponieważ dom połączony był z chlewnią, przyma tego nawozu bardzo blisko sąsiadowała z moim oknem. Co prawda dość szybko zamykałem okno, ale ten zapach był dla mnie jeszcze jednym elementem wiosny.

Ten rok szkolny minął dość szybko, a ja byłem szczęśliwy, że po wakacjach znów podpisano ze mną umowę na następny rok.

Znów mieszkałem w tym samym pokoiku, choć nieco mniejszym. Pewną jego część gospodarz wykorzystał na łazienkę. Kadra nieco zmieniła się, a mianowicie miejsce koleżanki, która wyszła za mąż i wyjechała — zajęła moja przyszła żona. Dyrektor wyznaczył mnie nieopatrnie na jej opiekuna. Miałem pomagać świeżo upieczonej nauczycielce w pisaniu konspektów.

Pomagałem tak zawzięcie, że po niespełna roku odbył się nasz ślub. Pracowałem więc jeszcze rok w Warmiaku, po czym w wyniku pewnych nieporozumień i przykrości, jakich doświadczyliśmy ze strony naszych bezpośrednich i pośrednich prze-

łożonych, postanowiliśmy poszukać pracy gdzie indziej. Znaleźliśmy pracę, a także — szczęśliwym trafem — mieszkanie w miejscowości zwanej Ksebki. Również na Kurpiach.

Nigdy nie żałowałem tej zmiany, choć zawsze z sentymentem wspominam te pierwsze dwa lata mojej pracy w Warmiaku.

Mimo, iż atmosfera panująca w gronie pedagogicznym nieco odbiegała od tej, jaką stworzyliśmy sobie w Warmiaku, to z czasem przywyłem i do nowych kolegów, i do dzieci, i do miejsca. Pogodziłem się nawet i z tym, że żona zabrała mi język polski. Uczyłem teraz muzyki, WOS-u i kilku przedmiotów w młodszych klasach.

W miarę narastającej we mnie tzw. świadomości nauczycielskiej, entuzjazm jaki miałem na początku, jakby powoli przygasł. Potęgowały ten stan rzeczy: niskie pensje, brak środków dydaktycznych, a szczególnie brak bratniej duszy, z którą mógłbym pogadać o tym, co mnie autentycznie pasjonowało.

Skończyłem szczęśliwie SN, a teraz kończę studia w Olsztynie. To mój szósty rok pracy. Wszystko to, czego nauczyłem się na studiach, staram się natychmiast wcielać w życie. Nie zawsze to wychodzi. Czasem czuję się jak jakiś odmieniec. Bycie sobą — często znaczy eliminację z grupy. Głupia alternatywa, ale wierzę, że to się zmieni. Te ciągle nauczycielskie skargi na uczniów, rodziców i wszystko dokoła, aby uzyskać akceptację innych nauczycieli i w ten sposób dowartościować siebie — coraz częściej wydają mi się po prostu nudne i irytujące.

Każdy uczeń jest dokładnie zaklasyfikowany i cokolwiek by robił — nie zmieni to jego pozycji w oczach nauczycieli.

Po takich skargach często odnoszę wrażenie, że uczeń po to tylko przychodzi do szkoły, żeby dokuczyć nauczycielom i zatruć im życie.

Można oczywiście mieć nadzieję, że nowa koncepcja kształcenia ogólnego cokolwiek zmieni w sposobie bycia nauczyciela z uczniem, ...ale na ile? Tego nikt nie wie.

Pisałem wcześniej, że w początkowym okresie mojej pracy nie śmiałem nazwać się nauczycielem. Teraz czuję, że jestem nim 24 godziny na dobę. I wiem, że chyba nie potrafiłbym już żyć bez tych moich kochanych małych Kurpiów.